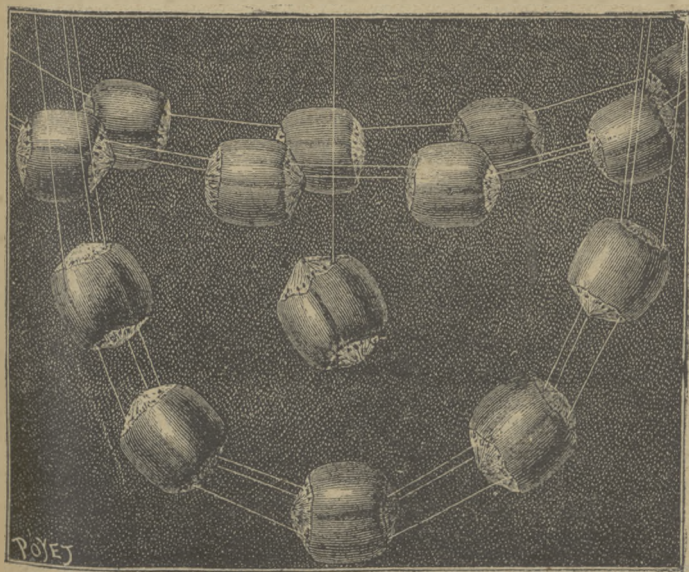


TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tój ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



SZTUCZKA Z ORZECHÓW.

Przypatrzcie się uważnie orzechom laskowym, kto ma lupe, niech ją weźmie do pomocy, a obaczycie po obu końcach każdego orzecha małe, ledwo dojrzone otworki. Gdyby się nie ukazywały odrazu, można zeskrobać lekko powierzchnię orzecha szczyrykiem. Otóż przekonano się, że otworki te przechodzą na wylot przez orzechy, tworzą rodzaj

rureczek, wewnątrz próżnych, przez które można przeprozić włos. Trzeba do tego zapewne niemałej cierpliwości, ażeby tym sposobem wykonać taki łańcuch z orzechów, jaki przedstawia nasza rycina. Rzecz jednak jest możliwa, polecamy tę zabawkę naszym czytelnikom; użytek z niej zapewne żaden, lecz przyjemnie jest czasem w wolnych chwilach złożyć dowód zręczności.

POTEGA MUZYKI.

Nie droż się, dudziarzu,
Ty stary nudziarzu,
Prosimy, graj!
Nuż z pieśnią duch zaśnie
I przyśni się właśnie
Młodości raj?
Graj, dudziarzu, graj,
Niech się przyśni raj.

* * *

Gra dudziarz, gra stary,
Bez rytmu, bez miary,
Niby bez ładu:
A w duszy powoli
Niedoli i doli
Wspomnienie, marzenie,
Powstaje, jak cienie,
Znika bez ładu.

* * *

Promienne zaranie
W majowej polanie
Już w rosy kropelkach łśni,
Wietrzyka drży wianie,
Brzmi ptasząt śpiewanie,
Czy marzę? czy mi się śni?...

* * *

Czy bydła brzmiały ryki...
Pastusze okrzyki
I stukot miadłących len?
Koguty złośniki
Podnoszą wrzask dziki,
Czy marzę?... Czy to jest sen?

* * *

Fujarka pastusza,
Pól serce, wsi dusza,
Wszak także w powietrzu brzmi...
Wiatr listki drzeń zmusza?
Czy ona je wzrusza?
Czy marzę?... powiedzcież mi?

* * *

Ja czuję, że siana
Woń z wiatrem przywiana
Rozmarza czarownie mnie.
I słyszę „ta dana”
Wśród głosów bez miana,
Czy marzę, czy może ja śnię?

* * *

Czy piorą u rzeki,
Gdzie jakiej dalekiej,
Bo kjoniek klask dobiegł mię?
Wóz skrzypi wśród spieki,
Mnie ciężą powieki,
Ja pewno, ach pewno ja śpię.

* * *

Dzwonienie z oddali
Po wietrznej, po fali,
Jak gdyby dolata mnie,
Aż słonko z opali
We łzach się skryształi
I gwałtem na klęczki mię gnie.

* * *

Dla czego, dudziarzu,
Ty stary nudziarzu,
Przestałeś nagle grać?
Niechże cię Bóg kocha!...
Tak dobrze choć trocha
Było mi marzyć i spać.

M. Ziel.

Gawędy podsłuchane u Niemnowej fali,

przez M. ZIELIŃSKĄ.

Ejragoła.

Dawno już, bardzo dawno, kiedy Niemnowe fale, młodsze o wiele wieków od dzisiejszych, daleko też żwawiej i głębiej płynęły niż dzisiaj, pewnego jasnego poranku kilka długich a wązkich łodzi wpłynęło na nie od morza, pędzą pod wodę chyżo, mimo bystro przeciw nim bieżącej fali. Ale bo też żeglarze, mężowie ogromni a zwinni przytem, wszystkich sił dobywali w celu pośpiechu, wiosłując potężnie a zręcznie, z czego już sławę mieli na świecie. Byli to albowiem Skandynawowie, prawdopodobnie przynajmniej, gdyż Skandyna-

wów to był podówczas zwyczaj ślizgać po morzach takimi właśnie długimi, chyżemi łodziami, wpływając w ujścia rzek, i temi jak wygodnemi gościncami dostawać się w głąb obcych krain, już to dla prostego rabunku, gdy siedziby mieszkańców najczęściej u wybrzeży leżały, już to dla zakładania na cudzych ziemiach własnych osad, gdy ciasno lub niewygodnie było w swoim starem gnieździe.

I na ten raz coś szczególniejszego gnało w świat tych żeglarzy, bo dwie pierwsze łodzie widocznie uciekały, a trzy następne gonily. Uciekające łodzie mniejsze były, uboższe, i mniej w nich było osady niż w goniących, ale też za to te ostatnie, wspaniale ozdobione i napełnione zbrojnym ludem, mniej były lotne od tamtych.

W najpierwszej, prócz kilku mężczyzn, znajdowała się młoda, ledwo trzynastoletnia dziewczynka, która jednakże wiosłowała dzielnie, nieledwie tak, jak otaczający ją towarzysze. Na morzu przed wpływaniem na Niemen duże łodzie napędziły już uciekających tak bardzo, że strzały zaczęły świstać koło nich, a wtedy jeden z nich zawołał, nie przestając usilnie wiosłować:

— Mino! porzuć wiosło i skryj się na dnie łodzi, bo strzały dosięgają...

— To niech mię dosięgną, wolę śmierć, niż nikczemnika za męża! — dumnie odparła dziewczyna, wiosłując gorliwie. — Ty sam nie powinieneś nawet tak mówić, jak mówisz, bracie Nemonie!

Nemon zamilkł, bystrem tylko i rozumnem okiem szukając środka ratunku, a tymczasem najbliższa łódź nieprzyjacielska tak się przybliżyła, że ludzie na niej będący zaczęli już przygotowywać ogromne drągi zakrzywione na końcu, rodzaj bosaków, do dziś używanych do zahaczania różnych przedmiotów na wodzie. W tej to chwili Nemon tak nagle i zręcznie skreślił w ujście Niemna łódź swoją, że czy to z powodu mniejszej zwinności, czy też nie przewidziawszy tego ruchu, ścigający stracili przy zawrocie sporo czasu i znacznie dalej teraz byli od zbiegów niż poprzednio.

— Hurra! hurra! — krzyknęli towarzysze Nemon.

— Nie mów hop aż przeskoczysz! — mruknął on.

— Ech ba! tutaj pod wodę trudniej płynąć ich cięższymi łodziami, niż naszym łupinkom! — wesoło zawołał młodziutki jasnowłosy i niebieskooki chłopak, wiosłując tego i wprawnie, jakby jaki potężny wilk morski; i jakby jaki uliczny swawolnik dzisiejszy pokazał język ścigającym ich łodziom. Ludzie na tamtych łodziach żadną miarą oczywiście widzieć tego nie mogli z tak daleka, ale Mina spostrzegła i rozśmiała się głośno.

— Ej Laf! ty malcze, nie ciesz się zawczasem! — mruknął Nemon, wzruszając ramionami, spostrzegłszy to także, ale mimo surowego mruczenia uśmiechnął się, spoglądając na śmiejących się swawolników. A wtem głos jakiś straszliwy, podobniejszy raczej do lwiego ryku niż do głosu ludzkiego, zawołał po dwakroć:

— Słuchajcie!... Słuchajcie!...

To na pierwszej ścigającej łodzi olbrzymi mąż powstał, wszyscy mówili, przyłożywszy do ust oburącz jakieś olbrzymie narzędzie, rodzaj tuby owocniejszej, potęgującej głos ludzki i przesyłającej go na daleką odległość:

— Słuchamy! Słuchamy! — pisał cieniutko Laf, przedrżniając się tym cieniutkim dyszkantem tamtemu straszemu basowi.

— Słuchajcie i czekajcie! — powtórzył tamten.

— O! już co wtem, to posłuchamy cię z pewnością... już czekamy! — zapewnił Laf, wyteżając wszystkie siły na wiosłowanie, a tymczasem ścigający ryczał znowu:

— Oddajcie mi tylko księżniczkę Minę za żonę, a wrócę Nemonowi jego księstwo! Czy słyszycie? — i nie wiedząc czy jest słyszany, wołający powtórzył raz i drugi uroczyste te same słowa.

— Żebyś ty pękł wprzódy, nim ja oddam moje siostry zdraycy służalcowi, zabójcy mojego ojca!... — mruknął Nemon wiosłując ciągle.

— Jakież on głupi... jeżeli myśli, że tu kto wiosłować przestanie, aby z nim uciąć gawędkę! — powiedział Laf. Mina, wiosłując zawzięcie, milczała, zaciąwszy usta, ale gdyby spojrzenie mogło zabić, wołający przez tubę musiałyby zginać od piorunów, jakie nań jej źrenice ciskały.

— Oddalamy się, oddalamy od zbójcy! — powtarzał Laf, nieledwie skacząc z radości.

— Lafie, ty szaleńcze, czy chcesz łódź przewrócić! — zgromił go Nemon ze spojrzeniem daleko łagodniejszym, niż słowa. To też Laf nie zważał na nie, mówiąc wciąż z wielką żywością:

— Abyśmy tylko gdzie zobaczył jaką ludzką większą osadę, zaraz wyskoczmy na brzeg i opowiemy ludziom tujszym, że ten zbój, który nas ściga, ma wielkie skarby w swych łodziach, ludziska pomogą nam, i gdy zbój wysiądzie za nami, zbijemy go wraz z jego bandą na leśne jabłko; ludziska zabiorą sobie wszystką zdobycz a z radości okrzykną swoim księciem Nemona a Minę księżną, ja zaś zostanę pierwszym wodzem wojska księżnej Miny, albo kuchtą, albo pastuchem, czem bądź, bylebym tylko mógł służyć księciu Nemonowi i bronić księżnej Miny, której ojciec przyjacielem był ojca mojego i mnie sierotę wychował; i założymy sobie wielkie, bogate księstwo, a jak książę Nemon zechce, to odbierzemy i dawne księstwo i będziemy mieli dwa.

— A wtedy, w którymże z dwóch ty, Lafie, będziesz kuchtą, czy tam pastuchem? — spytała Mina, śmiejąc się do łez z tej gadaniny.

— Oczywiście w tem, w którym księżniczka Mina będzie księżną! — odpowiedział bez wahania.

Tak, ludzie ci, przyzwyczajeni do życia pełnego przygód i niebezpieczeństw gawędzili w chwili grożącej im ostateczną zagubą. To też przy gawędzie wszystkie oczy coraz to zwracały się na ścigających, mierzząc ich oddalenie, a potem błędziły po brzegach rzeki i znowu wracały żywo do wiosła. A wtem, po długiej już żegludze, Nemon zwrócił łódź znowu gwałtownie w bok na przypływ Niemna.

— O! — zawołał Laf zdziwiony i ucieszony zarazem — ja się właśnie dziwiłem, dla czego nie wpłyniemy na który z tych strumieni, a już minęliśmy ich kilka!

— A to dla tego, że tamte wszystkie zdawały mi się głębsze i bardziej otwarte od tego; tu kto wie, czy ich łodzie, więcej potrzebujące wody, będą mogły płynąć, gdy nasze prześlizną się po wierzchu — rzekł Nemon.

I wiosłowano dalej co siły, oglądając się za pogonią, a płynąc coraz głębiej w głucho bezdenne lasy, ukrywające rzekę przed słońcem prawie. A że znów trafiło się parę zakrętów, tedy nie można było wcale widzieć ścigających, którzy mogli nawet nie być daleko wśród tego mroku cienistej gęstwiny, zwieszającej się nad rzeką. Tymczasem mrok zapadał i nawet potężne siły żeglarzy wyczerpały się. Natenczas korzystając z otwartszego od innych miejsca, które pozwalało widzieć, że w pewnej przynajmniej odległości nie było nikogo na rzece, Nemon kazał posilić się i spocząć Minie i Lafowi, i jeszcze jednemu z wiosłarzy, a sam z dwoma innymi wciąż acz wolniej daleko, posuwał łódź dalej, mimo ciemności, kierując się czemś do instynktu podobnem. Liczył też na to, że i ścigający będą musieli uczynić tak samo, tembardziej nawet z powodu dłuższych łodzi, którym wśród ciemności jeszcze trudniej było wymijać różne rzeczne przeszkody, jak obalone i wpoprzek leżące ogromne drzewa i t. p. Bał się tylko okropnie, żeby ścigającym nie przyszło do głowy opuścić łodzie i pieszo wybrzeżem pogonić. W śmiertelnej też obawie po jakimś czasie posiliwszy się kładł się na wilczą skórę na dnie łodzi, na konieczny spoczynek, polecając Lafowi i Minie posuwać łódź o ile będą mogli wraz z towarzyszym wiosłarzem, ale przedewszystkiem baczenie patrzeć naokoło, o ile noc dozwoli i zbudzić go za pierwszym podejrzaniem widmem lub szelestem. Był taki trwożny jednak, że i budzić go nie było potrzeby, zerwał się sam wkrótce i znowu czuwał i wiosłował.

Nareszcie minęła noc bez wypadku i Nemon odetchnął trochę, płynąc znów chyżo dalej, o ile dozwalały siły i prze-

szkody, które zresztą cieszyły zbiegów, ponieważ trudniejsze były do przebycia dla ścigających, niż dla ściganych. Druga łódka, niosąca kilku wiernych przyjaciół Nemona i Miny, naśladowała wszystkie ruchy pierwszej. Tak minął drugi cały dzień, w ciągu którego przeszkody rzeczne tak się zwiększyły, że trzeba było dwa razy wysiadać z łódek i wspólnymi siłami po jednej przeciągać je przez kłody straszliwe; naokół ciągle był głuchy las. Gdy po trzeci raz słońce weszło, Nemon opuścił wiosło i ręce na piersi założył w zamysleniu: nie obawiał się już pogoni; wrogowie nie mogli większymi łodziami wdrzeć się aż tutaj, i nie mogli aż tutaj przejść wybrzeżem, opuszczając łodzie na zbyt długi czas, bo wtedy naraziliby się na ich utratę. Pozostawało teraz pytanie, co począć dalej, aby żyć? Dotąd w bezdennych lasach, zacieśniających z obu stron rzekę, pełnych leśnego ruchu zwierząt i ptactwa, nie ujrano przecież śladu człowieka. Nemon stał i patrzył po okolicy, czekając czy las ten nie skończy się nareszcie... aż wkońcu zabrakło mu cierpliwości:

— *E! ira gałas!* — zawołał, co po litewsku znaczy „Niema końca”, wstrzymał łodzie, wysiadł na brzeg i założył osadę, którą od pierwszych słów przez niego w tem miejscu wymówionych nazwano: Ejragalas, co następnie w czestem użyciu na Ejragołą przerobiono. Przerobiły tę nazwę szczególnie małe, niedobrze jeszcze mówiące dzieci, których spora gromadka przybyła w osadzie, gdy Mina została żoną Lafa, a przyszło do tego z tej przyczyny, że Laf ciągle dokuczał Nemonowi pytaniami, czy ma kuchtą czy pastuchem zostać?

— Bądźże mi już bratem a daj mi pokój raz, bo wstydby mi było najwierniejszego przyjaciela pastuchem robić — powiedział Nemon, wiedząc doskonale, że Laf dawno pragnął ożenić się z Miną, nie śmiał tylko prosić o jej rękę.

Ejragoła, jedna z najstarszych osad litewskich, leży właściwie nie na, wybrzeżu Niemna, lecz w jego pobliżu, o cztery mile od Średnika, na prawym brzegu wpadającej do Niemna Dubissy. Lud tameczny dotąd wspomina o żeglarzu Nemonie, założycielu Ejragoły, który Niemnem z towarzyszami z odległych krain tu przypłynął, ale różni różnie o tem mówią, a kroniki jeszcze inaczej piszą. Pewnem historycznie jest tylko to, że osada ta sięga odległej starożytności, że w XIII wieku stał tu zamek, zapewne drewniany i wówczas już bardzo stary, prawdopodobnie przez Skandynawów lub za czasów ich pierwotnego osiedlenia się w Litwie zbudowany. Około roku 1262 mieszkał w tym zamku król Lutuwer, i w tym to zamku urodził się sławny i dzielny syn Lutuwera Witenes, walczący przez całe życie z Krzyżakami, którzy za jego rządów rozpoczęli swe na Litwę napaści. Za Kiejstuta stał jeszcze ten zamek, spalili go dopiero napadłszy Ejragołą Kuno Hattenstein, marszałek zakonu krzyżackiego, r. 1382.

Znajdujący się w Ejragole kościół parafialny jest jednym z tych dziewięciu kościołów, które Witold z Jagiełłą założyli na Żmujdzi pomiędzy 1414 i 1417 rokiem.

WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODÉJ DZIEWCZYNY,

spisała Br. Kuczyńska.

(Dalszy ciąg).

Do rysunków, to już sama wiem, że mam większe zdolności, ale żebym to mogła skierować je w jakim praktycznym celu, to jest gdybym mogła zostać inżynierem lub mechanikiem, to co innego, w takim razie kształciłabym się z ochotą. Ale rysować i malować dlatego, byle tylko czemś czas sobie zająć, to niepodobieństwo! Niemiłą mi jest sama myśl o tem. Naturalnie, że będąc w Szwajcaryi nie ominę żadnej sposobności zdejmowania pięknych widoków i nawet, jeżeli czas

mi pozwoli, lekcye malarstwa brać będę; ale kusić się o sławę artystki w naszych czasach, gdy mamy tylu doskonałych malarzy, lub też marnować farby i ołówki a nade wszystko czas, byłoby to prawdziwą nedoręcznością. Mogłabym wprawdzie zająć się gospodarstwem domowym i starać się stan jego podnieść; ale przyznam się szczerze, że jakoś tego zajęcia nie bardzo lubię. Może po powrocie, gdy moja wiedza się rozszerzy, a wzrok napatrzy na praktycznych Szwajcarów, i ja wezmę się do tego z większą ochotą, teraz jednak niech tam kochana moja Lewisia smaży konfiturki, robi masło i sery, a ja potem!...

Czego bardzo żałuję, to że nie mam czasu nauczyć się jakiego rzemiosła, którego następnie uczyłabym wiejskie dzieci; bo przychodziłyby do mnie, to wiem z pewnością, znają wszystkie i lubią swoją panienkę. Bardzo a bardzo chciałabym się nauczyć czegoś podobnego, może i to także da się zrobić w owęj uroczej Szwajcaryi, może jakie wyroby z drzewa, ze słomy, lub też może nauczę się roboty koszyków. Jedną z moich znajomych, która przed rokiem już ukończyła pensyą, nauczyła się wyrabiać różne koszyki i teraz uczy dziatwę wiejską. Co za radość w całej wsi z tego powodu, jacy szczęśliwi są rodzice, że ich dzieci pracują i takie ładne rzeczy do domu przynoszą, a te dzieci, jakie są zadowolone, jak chętnie przychodzą, rozmawiają wesoło podczas lekcji, czują same, że praca ich jest pożyteczna. Zazdrościłam też tej przyjemności mojej znajomej, a w duchu myślałam, że kiedyś i ja muszę się czegoś pożytecznego na wieś nauczyć i przy każdej sposobności namawiam moje koleżanki, aby się rzemiosł uczyły. Obiecują, może choć kilka spełni te postanowienia w przyszłości.

Gdybym miała mieszkać w mieście, wyuczyłabym się zagranicą jakiego zupełnie nowego rzemiosła, odpowiedniego dla kobiet i uczyłabym potem w wielkim zapale inne panienki, bo ożywiałyby mnie myśl, że przyczyniam się do ogólnej budowy społecznego dobra swoją drobną cegiełką. Myśli te nieraz przebiegały mi po głowie, nieraz dzieliłam się niemi z moją kochaną Bronią, która je w zupełności podziela. Nie przed każdym zwierzałam się, bo nieraz, gdy wyliczałam swoje zamiary i pragnienia, śmiano się ze mnie, twierdząc, że za wiele tego dobrego; a ja wiem, że spełnię to wszystko! jeśli tylko drogi mój ojczulek się zgodzi i jeżeli zdrowie mi pozwoli. Byli i tacy, co znów mówili, że zaledwie pokażę się na Ukrainie, jako dorosła panna, zaraz mnóstwo starających się o swą rękę mieć będą i zapomniawszy o wszystkich tych pięknych zamiarach, zaraz wyjdę za mąż. Otóż nie! właśnie że nie, jeżeli wyjdę za mąż, to z pewnością nie przedź, aż spełnię to wszystko, o czem marzę.

Siedząc na złomie muru w Janowcu z oczyma utkwionemi w daleką przestrzeń, myślałam sobie o tem wszystkim, podczas gdy ojciec i Bronka przyglądali się napisom, w rozmaitych miejscach na ruinach poumieszczanym; a gdy po chwili zbliżyli się do mnie, ojciec, widząc moje zamyślenie, zapytał o przyczynę. Rzuciłam mu się na szyję, dziękowałam za wszystko, co robi dla mnie, lecz zapewniałam przytem, że dopiero wtedy zasłuży na miano „nieocenionego”, gdy mi przyrzecze, że za dwa lub najdalej za trzy lata pojedziemy do Szwajcaryi. Dobrze znał ojczulek moje marzenia, więc się nawet nie zadziwił, gdy to pytanie usłyszał, a widząc troszkę niepokoju w moich oczach zapewnił, że jeżeli tylko wytrwam w tych zamiarach, on mi nie przeszkodzi; byłoby mu nawet bardzo przyjemnie mieć uczoną, a nade wszystko rozumną córkę.

Wszystko się więc składało, abym była wesoła, szczęśliwa, to też co wyprawiałam gdyśmy wracali! Wszystkie piosenki, jakie tylko umiałam, wyśpiewywałam radośnie, a echa roznosiły je daleko. Przewoźnikom bardzo się podobała piosenka „Płyn flisacza dziatwo!” szkoda, że było tak mało czasu, bo nauczyłabym ich chętnie tych słów. Tak byłam rada, upojona powietrzem, zielenią drzew, widokami cudnemi, myślą o Genewie, o koncercie, że wszystkich bym była chciała widzieć wesołymi, a że ojczulek i Bronia byli też w doskonałych humorach, więc stanowiliśmy „idealną trójkę.”

Na rynku Kazimierza zastaliśmy już zaprzężony nasz ekipaż, pod Lipą, w owym zajeździe, gdzie ucztowaliśmy z rana, zostawiłam łopatkę, a zabrałam naprawiony już parasolik. Właścicielka zajazdu nie omieszkała nas zaprowadzić do pokoju, w którym królowie jadali, co na świadectwie, oprawionem w ramki, jest wypisane i na ścianie, w najwidoczniejszym miejscu starego, sklepionego, ogromnego pokoju zawieszono. Poczem wsiedliśmy do powozu, bo czas już był wielki dążyć do Puław; wprawdzie jedzie się tylko pięć kwadrasów, ale już była godzina ósma, a jutro czekało nas Czarnolesie.

Powrót z wycieczki.

Wieczór był prześliczny, nie przeszkodził nam ani deszcz, ani wiatr, spokojnie było, a cudnie, piękna droga wydała nam się jeszcze bardziej czarującą przy zachodzącym słońcu. Lud schludnie i malowniczo ubrany dążył ku domom na odpoczynek, a gdy już odjeżdżaliśmy do Puław, słońce się schowało zupełnie, a czerwone blaski migotały w szybach chat, odbijając się od ognisk, na kominach porozpalanych i widać było siedzące i poruszające się postacie, oczekujące pewno z niecierpliwością na posiłek, który i nam przydał się bardzo, pomimo spożycia wszystkich zabranych z sobą zapasów.

Jakeśmy spały! trudno lepiej. Księżyc zaglądał do nas ciekawie, ale ponieważ nie życzyliśmy sobie tego, więc wzięwszy pled zawiesiłam go sztucznie nad oknem przy pomocy Broni, i zapanowała taka ciemność, że przyłożywszy głowy do poduszek, już nie wiedziałyśmy o niczem. We śnie przesuwwały mi się kolejno doznane wrażenia, ale jakoś tak miło i rozkosznie, że obudziłam się silna, zdrowa, gotowa do dalszych trudów. Wprawdzie przyczyniała się do tego owa sztuczna ciemność, wywołana przez zawieszenie nieprzepuszczającego światła pledu; ostatecznie obie przespałyśmy do godziny... dziewiętej.

Ojczulek wstał o siódméj; wyszedł na przechadzkę i nie kazał nas budzić, bo chciał, żebyśmy dobrze wypoczęły. Pocziwy, kochany, czekał na nas z wybornem śniadaniem, na które nie dałyśmy się wcale długo prosić. Proszę sobie wyobrazić, jakiego ja mam naprawdę „nieocenionego” ojczulka! Chciał mi to wynagrodzić, że w parku puławskim nie zebrałam żadnych roślin do zielnika, i wyszukawszy jakiegoś chłopca z koszykiem i rydelkiem, poszedł, przyniósł mnóstwo różnorodnych ziół i zaczął już nawet w bibuły je układać, ale my właśnie nadeszłyśmy (a muszę się pochwalić, że w kwadrans po wstaniu, chociaż mamy długie warkocze, szczególniej moja towarzyszka) więc odstąpił nam dalsze zajęcie się roślinami po śniadaniu, a sam poszedł kazać zaprzęgać i wstarał się znów o zapasy żywności i zamówił obiad dla nas na 5-tą, bo wcześniej nie mogliśmy powrócić.

Zaledwie poukładałyśmy rośliny nowe, poprzekładałyśmy wczorajsze, które wielkimi kamieniami kazałyśmy przycisnąć, zajechał nasz wczorajszy Adamek i oświadczywszy, że z wielką uciechą jedzie z takimi wesołymi osobami, zabrał nas i powiózł w dół osady, ku Wiśle. Trzeba tu było znowu promem się przeprawić, wszystko jakoś poszło prędko, u stóp Góry Puławskiej wysiedliśmy i raźnie, dobrze wypoczętymi końmi, podążyliśmy po Radomskiej szosie, przy której przynać trzeba, że nie było nic ciekawego. Ale że mieliśmy sobie tyle zawsze do powiedzenia o wrażeniach doznanych i oczekiwanych, więc zupełnie nam się nie nudziło, a gdy z drogi bitéj, po kilkunastu wiorstach, zjechalśmy na piaszczystą, którą jeszcze małą milkę trzeba było przebyć, rozmowa przybrała poważniejszy nastrój. Ojczulek opowiadał nam o Zwoleniu i Sycynie, to jest o tych miejscowościach, które są ściśle związane z życiem pana z Czarnolesia, a dokąd nie mieliśmy jechać. Te miejsca nie są nawet zbyt oddalone, lecz ponieważ jednego dnia trudno byłoby je zwiedzić, więc z żalem poprzestać musiałyśmy na opowiadaniu i zadowolnić się zwiedzeniem Czarnolesia, co w każdym razie

największy miało dla nas powab, bo najcenniejsze pamiątki pozostałe, głównie tam są zgromadzone.

W Sycynie, prócz figury na polu stojącej, z napisami wskazującymi, iż przez rodzinę Kochanowskich była stawiana, i dużych stawów, o których ukochany poeta wspomina w swych poezjach, nic osobliwego niema. Dwór dziś inny zupełnie i w innym miejscu postawiony, pokazują, gdzie stał

nowskiego przez jego synowca Adama wybudowana. Posiada piękny marmurowy pomnik z postacią poety naturalnej wielkości, a także i pomnik, wystawiony ku czci i pamięci jego rodziców. Pod tą kaplicą znajdował się murowany grób, w którym ustawiano wszystkie trumny ze szczątkami tej rodziny. Obecnie niema ani jednej, a to skutkiem zbytnej gorliwości w wypełnianiu rozporządzeń władzy, a ra-



Słonie uczone.

dawny, bo przechowały się dotąd fundamenta, jako też i podmurowanie kaplicy, która tu podobno stała, o czym świadczy wydobyty z tamąd kamień grobowy, dla rodziców Jana przez niego ufundowany. Tyle więc tylko dowiedziałam się o tem miejscu, gdzie książę poetów polskich przyszedł na świat i dziecięce przebywał lata.

W miasteczku Zwoleniu znajduje się kościół, właśnie w owym czasie bo w XVI w. budowany; kościółek podobno niewielki, ale posiada z dwóch stron przybudowane kaplice, z tych jedna była w lat dwadzieścia po śmierci Jana Kocha-

czniej niezrozumienia ich. Przed kilkudziesięciu laty zakazano chować ludzi w grobach pod kościołami lub kaplicami z powodów higienicznych, co jest chwalebna bardzo ostrożnością; ale co mogły szkodzić kości?... Niezrozumienie więc doprowadziło do tego, iż wszystkie trumny, a było ich podobno kilkanaście, wyniesiono i na nowym cmentarzu przy kościele zakopano, nie położywszy nawet żadnego znaku, po którymby je odszukać można.

(d. c. n).

SŁONIE UCZONE.

Niezbyt dawno podawaliśmy rysunek i opis dowcipnych sztuk, przedstawianych w cyrku paryzkim przez uczone papugi. W tymże samym cyrku popisywały się także słonie. Choć w ogóle nie pochwalamy tej zabawki, zmuszającej biedne zwierzęta do czynności całkiem naturze ich przeciwnych, musimy jednak przyznać, że widok tych słoni jest zajmujący i uciechowy. Macie na rycinie dziesięć sztuk rozmaitych, a każda przy ociążalnej postaci słonia tak zabawnie wygląda, że trudno się od śmiechu powstrzymać.

Oto najpierw słoń udaje nieżywego, jak to czasem umiają pieski pokojowe, gdy się na nie zawoła: zdechł pies!" Dyrektor tego widowiska dotyka go, woła, wreszcie staje na nim, jak na desce, słoń leży nieruchomy, póki nie usłyszysz wiadomego wezwania, które mu wstać nareszcie każe. Na rysunkach, oznaczonych liczbami, 2, 3, 4, widzimy znów ociążałe zwierzę, wykonywające prawdziwe sztuki gimnastyczne na przewróconym cebrzyku. W zabawnej pozycji staje to na przednich, to na tylnych nogach, wreszcie przepłata przednią z tylną, a wszystko to na rozkaz dyrektora.

Nr. 5-ty przedstawia słonia, utrzymującego zręcznie równowagę na dużym walcu drewnianym, który sam przedtem wytacza na środek. Nr. 6-ty oznacza słonia muzykanta. Rozkłada on sobie nuty, potem porusza nogą korbę pozytywy, oraz przyrządu, uderzającego w bębenek. Podczas grania, inny, jak widzimy pod N-rem 7-mym, tańczy w takt muzyki na cebrzyku przewróconym dnem do góry i potrząsa do tego kastanietami.

Zabawne także niezmiernie są słonie na huśtawce, po samym środku rysunku liczbą 8 oznaczone, u góry pod liczbą 9 przechadzają się znów po butelkach. Rozumie się, że to nie są zwyczajne szklane butelki, lecz kloce drewniane, ociosane podług tego kształtu.

Na zakończenie widowiska występowały słonie, zającące obiad w hotelu. Po spożyciu potraw z powagą wielką, gdy posługacz podawał rachunek, jeden z biesiadników zaczął mruzczyć z niezadowoleniem, jakby uważał, że mu za drogo płacić każe. Ta scena wywoływała zwykle wybuchy szalęnego śmiechu wśród publiczności. Po chwili tenże słoń podnosił trąbę złożoną przed nim na stoliku pieniądze i oddawał je z tą samą niewzruszoną powagą posługaczowi.

Wszystkie te sztuki wykonywane były kolejno przez dwa uczone słonie, które na afiszu mianowane były Jock i Jenny. Pochodziły one z Azji, gdyż, jak się przekonano oddawna, słonie azyatyckie o wiele są roztropniejsze i łagodniejsze od afrykańskich, łatwiej też oswajać się dają. Jeszcze za czasów rzymskich słonie uczone popisywały się z różnemi gimnastycznymi sztukami w cyrku, wobec widzów spragnionych tych igrzysk. Okazuje się, że pomimo postępu cywilizacji, upodobania ludzkie nie zmieniły się pod tym względem. A jednak zawsze to pewnego rodzaju barbarzyństwo.

DZIEJE IGIELKI.

— Opowiedz mi, igielko, swoje dzieje, z czego powstałaś i kto cię sporządził. Codziennie widzę, jak się ukazujesz i znikasz w maleńkich otworach, jakie robisz w płótnie, w materiałach bawełnianych, jedwabnych lub sukiennych i w przechodzie swoim pozostawiasz nitkę.

— Jestem drobna i delikatna, bo przeszłam przez wiele rąk dziecięcych. Jestem zgrabna, bo zgrabne ręce mnie robiły. Jestem mocna, bo przechodziłam przez ogień i wodę, Dwa potężne żywioły. Każdy z tej wielkiej ilości palców, które mnie wyrabiały, pozostawił na mnie ślad swój zręczności i zwinności.

Z początku byłam wraz z memi towarzyszkami prostym zwojem niebardzo równego drutu stalowego, ale obcگی mnie pochwyliły i przeciągnęły przez mały otwór, znajdujący się

w grubym żelazie. Przechodząc przez ten otwór, czułam, że staję się cienką i nabywam wszędzie jednakowej grubości. Jednym słowem zamieniam się na cienką nitkę stalową, podobną do tej nitki lnianej, którą dziś przeprowadzam. Po przeciągnięciu drutu przez ów drobny otwór w żelazie, przecinano go na mnóstwo kawałków. Działo się to tak szybko, iż w przeciągu dziesięciu godzin wykrajano czterokroć sto tysięcy kawałków. Zamieniłam się tedy na bardzo zwyczajny kawałek cienkiego drutu i myślę sobie: cóż teraz ci ludzie ze mnie zrobią?

Wtem słyszę obracający się duży kamień szlifierski. Jakaś ręka chwyta mnie wraz z 60-ciu moimi towarzyszkami i wszystkie jednocześnie ostrzy na tym kamieniu. Po zaostrzeniu z jednej strony, włożono mnie do dziwnej jakiejś maszyny, w której spłaszczono drugi mój koniec i przebity otwór, służący do nawleknięcia igły, a który nazywacie uszkiem. Odbywać to trzeba z wielką starannością, gdyż w oczko nawleka się nitka; gdyby więc brzeg oczka był zbyt ostry, toby ją przeciął, a wówczas na nic nie byłabym przydatna. Dla tego też natychmiast po wywierceniu oczka chwytają mnie ręce dziecięce; jedna usuwa kawałek stali, wypchnięty przez dłuto, druga robi małym pilnikiem wyłobienia, znajdujące się po obu stronach oczka.

Podobna już teraz jestem do igielki, ale tak słaba, iż krzywię się za najmniejszym naciśnięciem. Przenoszą mnie tedy do drugiego pokoju, tam rzucają wraz z innemi moimi towarzyszkami na ogień, palący się na dużym kominię, a gdy poczerwienieją od gorąca, jak wiśnia, rzucają mnie w naczynie napełnione zimną wodą. Taka kąpiel dodaje mi siły, twardnieję, czyli, jak mówią, hartuję się; ale jestem jeszcze bardzo nieładna, chropowata i niemogłabym przechodzić przez żadną materiją.

Zabierają się tedy do oczyszczenia mnie, to jest tak zwanego polerowania. Rzucają wraz z tysiącem moich towarzyszek w worek, w którym znajduje się glina, maleńkie kamienie i żelazne opiłki, a po zaszcyciu worka umieszczają go na stole, podobnym do wielkiego magła. Tam maglują nas przez dzień cały; następnie, aby nas trochę oczyścić, wrzucają do naczynia napełnionego drewnianemi trocinami, poczem znów kładą do poprzednich worków i maglują. Powtarza się to ośmnaście razy.

Teraz jesteśmy już zupełnie gładkie a nawet ładnie polyskujemy; lecz nic dziwnego, że podczas tyłu przejść wiele z nas utraciło główki lub końce. Przenoszą nas tedy do innego pokoju, tam kładą na stoły i lekkim uderzeniem młotka zmuszają do ułożenia się w szeregi. Wszakże nie na tem koniec, trzeba nas teraz zapakować. Jedna dziewczynka wycina równe kartki z niebieskiego papieru, druga składa je na trzy części, trzecia liczy po dwanaście igieł i umieszcza w otwartym papierze, czwarta, zamyka ten papier i przylepia na nim numer i adres fabryki. Następnie dziewczynki kładą pakietki w pudełka z białej, żelaznej blachy, z których każde mieści w sobie 50,000 igieł, te zaś do beczki wylanęj smołą — i oto gotowe jesteśmy choćby do najdalszej podróży.

Przeszło 120 rąk pracowało nademną, zanim dostałam się do rąk twój matki lub siostry. Nie wiecie o tem, że gdy matka wasza lub siostra lub ktokolwiek inny naprawia waszą bieliznę, to przedtem już przeszło 120 rąk było w ruchu aby przygotować potrzebne do tego narzędzie.

Henryk Wernic.

GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

— Trzebaby jednak na to poradzić — rzekłem.

— Ba! jest rada i bardzo dobra. Należałoby tylko jedno ze znaczniejszych państw nad Nigrem wzmocnić o t

ażebym nad wszystkimi innymi miało znaczną przewagę. Wówczas państwo to utrzymałoby wszędzie porządek, nie dopuściłoby drobnych buntów i zaburzeń.

— Ależ to pomysł wyborny!

— Niezawodnie. Lecz pozostaje jeszcze ważne pytanie, które z plemion miejscowych ma być do tego posłannictwa powołane? Rozumie się, że tylko mocarstwo cywilizowane mogłoby się podjąć w tym razie wyboru, a następnie i opieki nad państwem, sprawującym to zadanie zwierzchnictwa nad innymi. Niełatwo wcale rozstrzygnąć, czy pierwszeństwo ma być przyznane Arabom, lub Berberom? Równa prawa rościć też mogą do tego, murzyni właściwi, plemiona Sonraisów i Fulanów. A po rozstrzygnięciu tej pierwszej trudności, pozostaje druga, mianowania państwa opiekuńczego. Nie sądzę, aby to miało być które z mocarstw wschodnich, Egipt, Maroko, Tunis, lub Turcja. Prędzej jedno z europejskich, Niemcy, Anglia lub Francja, każde z nich dziś już wyraźnie na to czycha. Co do mnie, rzecz prosta, że bronie tu sprawy Francji.

Nieraz zastanawiałem się nad tem, po co też p. Anatol Lemercier przybył do Timbaktu? Najrozmaitsze domysły przychodziły mi do głowy. Nie był on kupcem, więc nie miał na celu handlu. Posiadał wyższe wykształcenie, mógł więc spełniać zlecenia jakiegoś Towarzystwa geograficznego, lub upatrywać najstosowniejsze miejscowości na przeprowadzenie kolei żelaznych. Nigdy nie przypuszczałem, aby młody Francuz bawił na dworze szejka Achmeta el Baki w misji dyplomatycznej. A jednak niewątpliwie tak było, sam to otwarcie teraz wypowiedział.

Francuzi pozakładali już oddawna kwitnące osady w Afryce zwrotnikowej, dążąc do rozszerzenia swego panowania w tych krainach. Podróżnicy ich z nieustraszoną odważą wdzierają się nieustannie w głąb tajemniczego ładu. Wszak Francuz Caillé pierwszy zdjął zasłonę tajemniczości z miasta Timbaktu; narażając się na największe niebezpieczeństwa, dostał się do tej stolicy, o której istnieniu nawet powątpiewano przedtem, gdyż najdziwaczniejsze na niewidziane opowiadano o niej wieści. Za dni naszych wstawili się niemniej znakomici podróżnicy, Paweł Soleillet, Savorgnan de Brazza i inni, którzy sztandar francuzki zatykają wśród tych dzikich plemion. Współzawodniczą z nimi Angliki, a także w czasach ostatnich i Prusacy.

— Jak widzę — rzekłem do młodego wielkorządcy — wywiązałeś się pan bardzo mądrze ze swojego zadania. Uczyniwszy tak wielki krok naprzód na korzyść Francji, świętą przyszłość masz pan teraz przed sobą.

— Przyszłość!... o tak, świetnaby to była rzeczywiście przyszłość dla Sudanu, gdyby mi się udało jaki taki ład tu zaprowadzić. Niechbym tylko spokój i bezpieczeństwo zdołał zapewnić w Timbaktu. A toż wówczas takiby tu ruch był, jak w Paryżu i Londynie. Gwiazda Sudanu stanęłaby na czele olbrzymiego handlu, byłaby stolicą prawdziwą. Zaręczam pana, że wówczas mielibyśmy tu niezadługo giełdę, muzea, teatru, światło elektryczne!... Co za piękny sen!

— Masz pan słusność, jest to sen tylko, a może poezya...

— Co, poezya? Jabym poezye miał wymyślać? nigdy, przenigdy, idźmy lepiej spać.

I powiedziawszy sobie dobranoc, udaliśmy się na spoczynek. Nazajutrz o świcie dzielny „timbuktukoj” objął władzę w mieście i czynnie się zajął uporządkowaniem wszystkiego i przygotowaniami na wypadek spodziewanego oblężenia. Zaraz też dnia tego odbył przegląd wojska.

Jak już wspominałem, była to pora wielkiego dorocznego jarmarku. Mnóstwo towarów rozmaitego rodzaju przybyło z Kano, Rdamesu, Insalach, z Fezu i Mogadoru. Niebrakło też i wszelakich zapasów żywności. Ogromne składy napełnione były zbożem, solą, herbatą, cukrem, daktylami, owocami drzewa maślanego, orzechami Kola. Nowy wielkorządca natychmiast na rzecz rządu porobił w tych składach ogromne zakupy. Szejk oddał na to do rozporządze-

nia jego kasę podatków, którą emirowie zaopatrywali dokładnie.

Należało jaknajspieszniej ufortyfikować miasto, a do tego niemało rąk było potrzeba. Nasz timbuktukoj, nie tracąc czasu, wydał rozporządzenie, aby stanęli w pogotowiu do tej pracy wszyscy rękodzielnicy, robotnicy miejscy, wszyscy niewolnicy, należący do bogatszych mieszkańców, wreszcie i część przybyłych na jarmark ludzi, ze służby czasów i t. p. Zabrano się do roboty według wskazówek jego. Najpierw ponaprawiano mury dokoła miasta, potem poczęto kopać rowy i wały sypać za miastem w kilku miejscach, dających najłatwiejszy przystęp do bram; mianowicie: za laskiem palmowym, za grobowcem Faki Mahmuda, oraz u wejścia kotliny, ciągnącej się od miasta do pustyni Kabary.

Francuz mianował dozorcą tych robót wielkiego kowala miejskiego, sam zaś najwięcej czasu poświęcał ćwiczeniom wojskowym. Jazda Auaba rozmaite ewolucje odbywała pod jego kierunkiem, była to najlepsza część wojska, to też timbuktukoj mianował ten pułk swoją gwardyą i strażą przyboczną. Po nich szli Fulani, pod dowództwem Imestana, wreszcie wojownicze plemię Kel-Ulli.

Nadciągnął także oddział z pokolenia „Ruma”, pod dowództwem starego sławnego wojownika, imieniem Saker-taf. Kazano im tymczasowy obóz rozłożyć w ogrodach naszej zaui, mogłem więc przypatrzeć im się zbliska. Rumasi są to potomkowie żołnierzy marokańskich, którzy, po zabiorze kraju przez rząd Maroku tu się osiedlili i poženili z miejscowymi kobietami. Pyszną się dotąd ze swego pochodzenia, ponieważ ojcowie ich byli zwycięzcami i panami tej ziemi. Od Sonraisów różnią się cerą jaśniejszą, regularniejszymi rysami, oczyma pięknymi pełnymi wyrazu.

Na znak wyższości swojej rodowej, Rumasi przypinają na chuście, osłaniającej twarz ich, małą czerwoną wstążeczkę. Po wierzchu odzienia noszą fartuch skórzany. Oddział ten przynosił wiadomości o ruchach nieprzyjaciela. Dowiedzieliśmy się tedy, że plemię „Surgusów” zbierało się i zbroiło w „Taramcie”, to jest na lewym wybrzeżu Nigru; że główny obóz wojsk sprzymierzonych usadowił się w Bambio; że wreszcie przednie straże konne przebiegają już wszędzie po drogach, tamując komunikacyą. Tym sposobem Timbaktu już i teraz, jakkolwiek zdaleka, było jednak dokoła otoczone przez wojska nieprzyjacielskie, a stanowcze oblężenie groziło lada chwila.

Achmet el Bakai kazał przygotować sute przyjęcie dla tych wojowników; gdy wyszedłem do ogrodu, aby ich obejrzeć, cały oddział zastałem przy uczie. Zabito na cześć ich pięć wołów, w olbrzymich misach glinianych piętrzyły się góry dymiącego ryżu, na półmiskach drewnianych dwumetrowej średnicy ponakładane były w kształcie piramid różne inne potrawy. Lecz wielkorządca „Francis bono” zganił ostro niepotrzebny ten zbytek i zapowiedział, że od-tąd, nietylko dla wojska, lecz także dla mieszkańców wydzielane będą stosowne porcje, dostateczne do zaspokojenia głodu. Przedewszystkiem bowiem należało oszczędzać żywności, żeby jej nie zabrakło podczas oblężenia.

Nieoceniony ten nasz wielkorządca w ustawicznym był ruchu, wierny Barbusza, z siekierą w ręku, nie odstępował go ani na jedną chwilę, wszędzie ich obu było pełno. Już to z naszej gromadki niewielką miał pomoc p. Lemercier. Zaczny wujaszek Bak znakomitym jest botanikiem, ale nie umie być czem innym. Zeby tu ziemia usuwała się pod jego nogami, chwyciłby ukochany swój zielnik i czekał spokojnie końca świata. Ja mogłem się przydać podczas wojny, ale później dopiero, przy opatrunku rannych w szpitalu. Do broni nie rwałem się wcale. Co do Karola, ten także nie był wojowniczego usposobienia, zdolności jego miały zająśnić później jednocześnie z mojami, gdyż był wybornym posługaczem szpitalnym.

Przykrą mi jednak była zupełna bezczynność; więc podczas gdy wielkorządca zajmował się temi ważnemi sprawami, ja zacząłem porządkować i przewietrzać parę sal zaui,

ażebym mieć w pogotowiu ambulans chirurgiczny. Zwiedziłem sklepy i sklepiki miejskie, szukając różnych przedmiotów, niezbędnych przy opatrywaniu rannych. Niełatwa to była sprawa, bo Timbaktu nie doszło jeszcze do tak wysokiego stopnia cywilizacji, aby tam o urządzeniach szpitalnych miano wyobrażenie. Lecz obecnie w porze jarmarku składy tak obfitowały w różnorodne towary, że dobrze poszukawszy, nie mało pożytecznych rzeczy nagromadziłem. Karawany marokańskie nawiozły np. mnóstwo stalowych wyrobów angielskich, jak noże, nożyczki, pilniki, igły i szpilki. Zaopatrzyłem też ambulans mój w porządną bieliznę na zmianę dla chorych, w burnusy i kołdry.

Osobno znów urządziłem aptekę, nagromadziłem tam zapas cytryn, granatów, orzechów kola, które mają własności pobudzające. Prosiłem też wujaszka Baka, ażebym mi nabierał różnych ziół leczniczych; to jedno spełnił z ochotą i gorliwością. Karol był też przy mnie nieodstępnie, pozwolono mi także używać do pomocy wszystkich „koddamów”, to jest posługaczy zawi i świątyni. P. Katarzyna i p. Gu dula zajęły się przyrządzaniem szarpi i bandaży. Płótno znalazłem w obfitości po różnych składach, a wydawano mi towary na rachunek szejka.

Roboty przy fortyfikacjach postępowały szybko, przyjaciel nasz p. Lemercier z nadwyzwyczajną energią kierował wszystkim i umiał sobie zjednać posłuszeństwo. To pewna, że i dzicy ludzie potrafią ocenić wyższość umysłową.

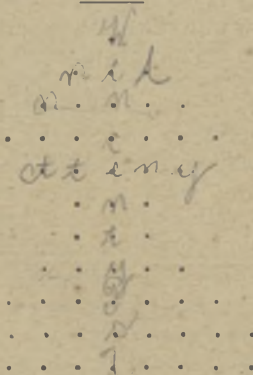
— Oho! — mówiłem do niego pewnego rana, gdyśmy razem oglądali warownie — panowie Anglicy ani się spodziewają, że będą tu mieli do czynienia z takim dowódcą wojskowym.

(d. c. n.)

SZARADA (Pif).

Pierwsze jak i drugie
W nutach odnajdziecie,
Wszystko jest rysownik,
Wslawiony na świecie.

Krzyż z podstawą (Kropelka Rosy).



Wypełnić kropki literami, aby utworzyć: 1. Rząd (poziomy) Spółgłoska. 2. Rzeka w Afryce. 3. Król starożytny

bajeczny. 4. Stowarzyszenie. 5. Miasto w Grecyi. 6. Zaimek 7. Zaimek. 8. Część ciała. 9. Zwierz drapieżny. 10. Zwierzęta drapieżne wodne. 11. Broń palna. Litery środkowe, w kierunku pionowym odczytane, utworzą imię i nazwisko poety polskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

Zadania konikowego:

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy,
Po wsi ściągają się dziatki,
Niosąc jagody i kwiatki.
Tam pasterka w głębi siola
Błądnej krowki na noc woła,
Słońce za lasy zachodzi,
Bramy złocone odwoździ.

Kazimierz Brodziński.

Łamigłówki zgłoskowej:

BRONISŁAWA PORAWSKA
a a g a r a a l a s o l o g i o a n
t f l r y m p w w t w i n u l k k n
u a i ó s u u a ó r ó w i t n ó a a
MŁODYMPRZYJACIOŁOM

OGŁOSZENIE.

Wysła z druku książeczka mała i bardzo niedroga, bo kosztuje tylko kop. 15 przystępna więc dla każdego z czytelników naszych i każdy ją kupić powinien, podwójną bowiem ztąd korzyść odniesie: będzie miał w swoim księgozbiore śliczny wiersz, zasługujący na to, aby go się młodzież na pamięć uczyła i spełni dobry uczynek, bo zysk osiągnięty z rozprzedaży przeznaczony jest na kolonie letnie. Tytuł książeczki:

W PIWNICZNEJ IZBIE.

przez

Maryą Konopnicką.

Lepiej zresztą polecić nie możemy tego wydawnictwa jak przytaczając słówko wstępne autorki, która pracę swoją przypisała: „Biednym dzieciom Warszawy” i tak do nich przemawia: „Nie mam swego pola, ani łąki, ani swego lasu, nie mogę więc żadnemu z was, kochane dzieci, dostarczyć słońca i ożywczego powietrza wioski. Daję wam co mogę: mały wierszyk; a jeśli go się które z was wyuczy, a powie tym, co mają lasy, i łąki, i pola, to ręczę, że was nie zostawię przez całe lato w waszych dusznych, ciasnych izbach. Ja już ich znam! zobaczycie!”

TREŚĆ: Sztuczka z orzechów (z drzew.) — Potęga muzyki, wiersz p. M. Ziel. — Gawędy podsluchane u Niemnowej fali, p. M. Zielińska. — Wspomnienia z wakacyj, spisała Br. Kuczyńska (c. d.) — Słonie uczone (z drzew.) — Dzieje igielki p. Henryka Wernica. — Gwiazda Sudanu, przygody podróżników w Afryce środkowej (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. Dodatek Pozory mylą (z drzew.) — Janek i Fidelek wiersz p. Helenę Bojarską. — Opowiadanie jaskółki, napisała Marya z Grabowa. — Łamigłówka i rozwiązanie. Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Branka litewska, opowiadanie z dawnych czasów p. Michalina Zielińska.

POZORY MYŁA.



łopoty i przygody pewnej rodziny ptasięj, opowiedziane w tej powiastce, mogą i dzieciom za dobrą naukę posłużyć. Państwo Kuropatkowscy, była to ładna młoda parka, wielce do siebie podobna wzajem, bo też blisko z sobą spokrewniona przez ciotki i matki. Oboje mieli dziób krótki, o szczęce wypukłosklepistej, przy końcu zgięty, nogi mierne, skrzydła krótkie, zaokrąglone, ogon

krótki, schylony ku ziemi. Oboje byli bardzo żywego usposobienia, biegali szybko, i latali szybko także, jednak bez wytrwałości w locie. Dla tego też, niezdolni do dalszych podróży, obrali sobie wcześniej za młodu jeszcze ładną ustron pod lasem, na otwartym polu, drobnymi zaroślami ocienionem i tam się osiedlili w pobliżu wioski, ażeby skosztować czasem zbożowego ziarna, zasianego przez ludzi, których za to uwalniali od wielu niemiłych im owadów. Korzonki niektóre i trawy stanowiły resztę ich śpiżarnianych zapasów.

Nic dziwnego, że przy tak skromnych potrzebach i wymaganiach gospodarstwo państwa Kuropatkowskich wiodło się bardzo szczęśliwie i wesoło, bez wszelkich z ich strony wysiłków, jakkolwiek przy pracy nieustannej. We właściwej porze, od czasu do czasu wyściełali dołek nieduży w ziemi miętko suchymi trawami, potem naniósłszy dużo, bardzo dużo jaj (nie tak kilka, jak lada ptak, ale tak jak najporządniejsza gospodarska kura) oboje państwo zaczęli wysiadywać je z największą troskliwością. Jeżeli jedno było zmuszone dla ważnej jakiejś sprawy opuścić jaja na chwilę, drugie copędzniej nakrywało je gorącymi własnymi skrzydełkami, podszyciemi puszką cieplejszym od dziesięciu pierzynek.

Nic dziwnego, że przy takiej pilnej troskliwości Kuropatwiątka wylęgały się takie dzielne i zwawe, że w kilka dni po przyjsciu na świat już gotowe były do lotu i radę sobie umiały dawać nieledwie tak samo, jak tatuś i matusia, chociaż od nich daleko jeszcze były mniejsze. Cóż, kiedy jak każda rzecz ma dwie strony, tak i ta ich dzielność i siła bywały nieraz przyczyną różnych przykrości. Niektóre Kuropatwiątka tak się rozuchwalały, że aż czasami ośmielały się puszczać na wycieczki na własną rękę, co straszliwego niepokoju nabawiało rodziców. Bo też nieraz niedoświadczony wyrostek,

zobaczywszy gdzieś tam na świecie coś dziwnego, czego młodocianym rozumem wcale nie pojmował, rozpovidał potem rodzeństwu niestworzone nedorzeczności, tłómacząc najfałszywiej to, czego zrozumieć sam nie mógł. Takie bajki zwracały młode główki i budziły w całej gromadce ochotę do włóczęgi, do zaglądnania w cudze kąty i do rozrywania rodzinnego węzła, przywykając do biegania samopas.

— O, dziatczki!... — wołali nieraz rodzice Kuropatkowscy — zastanówcie się, co czynicie; oto z dawien z dawna, jak daleko pamięć zasięga, zawsze jedność i wspólność były zasadą naszego rodu, zawsze Kuropatwiątka chodziły gromadką razem z rodzicami i nie odstępowały ich, dopóki dorósłszy do pełnoletności nie szły na swój chleb wedle zwyczaju. Nigdy nikt nie chodził pojedynkiem, bo tak tylko dziki robią, i każdy pilnował, co do niego i jego rodziny należy, nie wścibiacząc dziobków w cudze sprawy!

— Ale, tatusiu najdroższy, kiedy tam dalej na świecie można czasem niezmiernie ciekawe rzeczy widzieć! — piśnie na to mały synek, zwany Czupurny — oto dziś rano właśnie, kiedyśmy to wszyscy gromadką wyszli na przechadzkę i zarazem po żywność tam na tamten łąk zboża, bliżej wioski, ja tylko na chwilę odbiegłem od was i wsunąłem się w krzaki koło dworskich sztachet, a wiecie też, co ujrzałem?... Ach! ciekawe rzeczy! Wyobraźcie sobie tylko, przed dom wyszła kobieta i zaczęła głośno wołać w sposób trochę podobny do tego, jak to matuchna nasza wywołuje, kiedy co smacznego nabiera i chce nas wszystkich równo obdzielić. Na to wołanie zaczęły zbiegać się ze wszystkich stron tłumy ptaków, do nas podobnych, małe wioły nawet pi pi pil prawie tak jak my, gdy niemowlętami jeszcze jesteśmy, starsze zaś wołały ko ko ko! albo kuku ry ku! Wszystkie otoczyły ową kobietę z wielką poufałością, wskakując jęj aż na głowę nawet, a ona, czerpiąc z fartucha, sypała im pełną garścią najsmaczniejsze zbożowe ziarna, jakie tylko są na świecie. Zdziwiony, zapytałem jednego młodzieńca w moim wieku z tej gromadki, zawzięcie młócacego ziarna, co to za uroczystość? czy żniwa, czy co podobnego? Ale on zajęty odparł tylko, spoglądając przez ramię na moją skromną szarą codzienną kurteczkę:

— U nas tak zawsze!

— Jakto! a w zimie? — spytałem zdumiony.

— W zimie?... nie pamiętam! — odparł niegrzecznie i dziobnąwszy gwałtownie swego krewniaczka w żółty łebek, zakrzyknął gniewnie:

— A nie ruszaj! to moje ziarnko!

Zawstydzilem się za tego niegrzeczne młodzieńca, pamiętając, jak to nasi rodzice zawsze zgodę nam zalecają, a wtem widać i jego matka zawstydzila się także za niego, bo zlekka pukając mu dziobkiem do rczumu, żywo coś doń zaczęła przemawiać. Tymczasem druga matrona bardzo poważna, z tegoż rodu zbliżyła się do mnie i rzekła dumnie:

— Tak jest jak ci mówił mój siostrzeniec, mój dziki biedaczku, u nas zawsze jednakowo, zimą i latem dostajemy do syta ziarn, a dla odmiany kartofli, bo od tego, aby nam ich dostarczać i pielęgnować nas w kurnikach, jest osobna gospodyni na folwarku!... My jesteśmy kury!

Aż mi się w głowie zawróciło na myśl o takim dostatku i pielęgnowaniu w kurnikach, bo widzę przecież i wiem, co to nasi rodzice mają ciężkiej pracy z naszym wyżywieniem, cóż to dopiero za bieda musi być w zimie!... gdy ziarnek niema na polu... A co to będzie za strach, gdy doszedłszy pełnoletności, przyjdzie nam samym myśleć o sobie, gniazda upatrywać i wyściełać, potem znów rodzinę żywić, a przytem wszystkim nieustannie strzelca się strzedz!... O retyl retyl! gwałtu! jacyż my nieszczęśliwi jesteśmy w porównaniu z temi kurami, które pielęgnowane są na folwarku!

Gdy tak rozповідаł Czupurny, całe rodzeństwo jego zaczęło ciężko wdychać nad swoją biedą, chciwie słów jego słuchając, a tatuś Kuropatkowski jeszcze ciężiej westchnął i rzekł:

— Otóż widzicie teraz, dlaczego zabraniaamy wam włóczyć się po świecie, abyście zobaczywszy coś, czego nie możecie zrozumieć, nie pożąдали tego i nie czuli się nieszczęśliwymi w skromnem położeniu waszem. Nie wiem, jak tam jest z kurami na folwarku, ale wierz mi, Czupurny, nie chodź do nich, nie zaprzyjaźniaj się z tym dumnym obcym rodem, pracuj na tem polu wśród zarosli, na którym się urodziłeś, a zdobędziesz zadowolenie, jakie mieli i mają przy pracy twoi rodzice i dziadowie.

Czupurny wysłuchał nauki ojcowskiej dość skromnie i nawet dopóki ją pamiętał, nie chodził na wycieczki, ale gdy zapomniał, poszedł znowu, wymknąwszy się niepostrzeżenie z rodzinnej gromadki. Biegał tak na folwark raz po raz przez czas jakiś, podziwiając rozkoszne życie kłótlivego siostrzeńca, jego dumnej ciotki i matki, aż dnia pewnego, gdy zabawił dłużej, a rodzice ciężko trapiłi się jego nieposłuszeństwem, dał się słyszeć pisk żalony i Czupurny z najeżonymi piórami, cały drżący, wpadł w rodzinne zarosła taki przestraszony, iż wyglądał jakby nawpół martwy.

Rodzina cała skoczyła na jego ratunek, ojciec i matka zaczęli coprędzej rozgarniać mu piórka, oglądając, czy rany gdzie niema, rodzeństwo podawało mu, to ziarnko, to polną muszkę dla orzeźwienia. On długo dyszał, jęczał, aż położył się naprawdę i zachorował, jedynie z okropnego jakiegoś strachu, bo rany żadnej, ani stłuczenia, ani złamania nigdzie żadnego nie było. Przerazenie ogarnęło całą rodzinę, bo choroba była rzeczą nieznaną wśród zwawych Kuropatkowskich; pielęgnowali jednak Czupurnego, jak umieli, aż nareszcie wyszedł z niebezpieczeństwa i wtedy dopiero tak im przyczynę przestrawu swego opowiedział:

— Oj, co ja widziałem!... co widziałem!... siostry, bracia, słuchajcie rodziców, nie odchodźcie nigdy poza rodzinne pola, pracujcie, a nie zazdrośćcie tym, którzy się wam z daleka szczęśliwymi wydają!...

— Ale cóż ty widziałeś? — pytało rodzeństwo.

— Oto poszedłszy znów na folwark i patrząc na swawolące z gospodynią przy jedzeniu ziarna kury

i kurczęta, ujrzałem, jak ona chwyciła, jedno po drugim dumną młodą ciotkę, jej kłótlivego siostrzeńca i kilkoro z jego rodzeństwa, a potem w moich oczach wszystkim im główki poucinała!...

— Gwałtu!... co ty mówisz! — krzyknęła cała rodzina Kuropatkowskich.

— Prawdę szczerą — zapewnił drżąc jeszcze Czupurny — potem wyszedł człowiek w białym fartuchu i w białej czapce, zabrał pobitych, a ja skamieniały z przerażenia, nie mogąc ruszyć się z miejsca, widziałem przez otwarte okno kuchenne, jak ich w gorącej wodzie parzono, skubano, wreszcie wsadzono na rożen i pieczono!..

Głucha cisza zapanowała wśród drżącej rodziny Kuropatkowskich po tem strasznem opowiadaniu, w długą chwilę dopiero tatuś Kuropatkowski, zabrawszy głos, tak mówił:

— Czy teraz wiecie, o dziatki! czem jest to pozorne szczęście, któregoście tak kurom zazdrościli? Ludzie na to je pielęgnują aby mieli co jeść! Wprawdzie i z nami może stać się to samo, gdy nas strzelec upoluje; ale od czegoż głowa na karku i ostrożność, aby się nie dać podejść strzelcowi. Porzućcież tedy wdychania za lepszym bytem, zadawalniajcie się rodzinną łąką, pracujcie, jak wasi pradziady, a zaręczam was, że życie wasze będzie stokroć milsze w rzeczywistości od życia wielu stworzeń, które się z pozoru szczęśliwymi wydają.

JANEK I FIDELEK.

Janek ma pudła Fidelka,
A przyjaźń z nim jest tak wielka,
Że gdzie się ruszy chłopczyzna,
Wszędzie za nim wierny psina.
Spogląda się nań co chwila,
To się łąsi, to przymila,
Gotów zawsze do obrony.
Jaś też wdzięczny ze swój strony
Ceni przyjaźń przyjaciela
I jedzenia mu udziela;
Nie zje sam ciastka ni mięsa,
By pieskowi nie dać kęsa,
I pieści się z nim, i bawi,
I przymioty jego sławi.
— Pięknego masz przyjaciela —
Powiedziała raz Aniela,
Siostra Janka — mój jedyny,
Na co ci te względy psiny?
Masz kłopotu z nim niemało.
O! mnieby się tak nie chciało.
Myśleć jeszcze, czy to zdrowo
Dać mu tamto albo owo,
Czy nie głodny, nie pił może?
Co ci z tego? mój ty Boże!
— O, kochanie, wszak i zwierzę,
Przywiązać się może szczerze —
Rzekła matka — przyjaźń wszelką
Trzeba uznać; tak, Anielko,

Bo kto tylko miłość wzbudzi,
Czy u zwierząt, czy u ludzi,
Ten widocznie, moja duszko,
Bardzo dobre ma serduszko.

Helena Bojarska.

OPOWIADANIE JASKÓŁKI,

napisała *Marya z Grabowa.*

W pogodny dzień letni, wśród klombu w ogrodzie, wesołe grono ptasząt gwarzyło swobodnie. Poważny wróbel i jaskółka przewodzili w tem zebraniu. Młodziutka pliszka zasięgała rady doświadczonych mateczek, gdzie najbezpieczniej założyć gniazdeczko. Praktyczny wróbel był za tem, żeby w oborze pod belką. Zapewne, że to miejsce niezbyt wykwintne.

— Ale tam ciepło, wygodnie, to grunt — zaświegotał, uderzając się dziobkiem po tłustym brzuszku — dobrze jest także przy stodole, widok snopów zboża ogromnie rozwesela; to jakby otwarta spiżarnia.

Skowronek, wytworniejsze mający upodobania, namawiał, by gniazdko to urządzić w ogrodzie, a słowiczek na krzaku róży w bliskości wody. Zakrzyczeli go wszyscy, bo śpiewak zawsze niepraktyczny, dobrze poradzić nie potrafi. Jego rodzina najczęściej staje się pastwą kota, podczas gdy on ludzi swoim śpiewem zachwyca.

Jaskółka, pomimo że jej wiek i doświadczenie, nabyte tylotetniej podróży dawały pierwszeństwo do wypowiedzenia zdania, wciąż milczała smutnie. Dopiero gdy pliszka ze stanowczością, właściwą młodym osobom, zadecydowała, że podług niej najstosowniejsze jest miejsce pod gzymsem werandy, jaskółka zadrżała, nastrożyły jej się piórka i z jękiem zawołała:

— Tam, blisko ludzi, nigdy!

— Ależ tam właśnie najlepiej — odpowiedziała rezolutnie pliszka — ładnie, wesoło, a przytem co to za przyjemność patrzeć na te śliczne złotowłose dzieci, które do ptaszków ręce wyciągają.

— O nieopatrzna! — zawołała z żalem jaskółka — ze wszystkich istot na świecie, najwięcej strzedz się powinniśmy dzieci... Kot, ptak drapieżny, poszukują nas na swoje pożywienie, głód je do tego skłania; dzieci zaś dla zabawki na okrutne wystawiają nas męczarnie. Patrz na mnie; dlaczego zestarzałam się przedwcześnie, czemu się błąkam zdała od siedzib ludzkich? Bo całe moje szczęście właśnie te złotowłose aniołki złamały...

— Posłuchaj, pliszko; byłam młoda, swobodna, jak ty, wszystko mi się uśmiechało, gdy pierwsze gniazdeczko lepiliśmy sobie z nieodżałowanym moim mężem. Ach! jakiż on był rozumny i jak wszystko dobrze obmyśleć umiał. Wybrał sam bezpieczne miejsce na naszą siedzibę, pod dachem altany w ogrodzie, na wyścigi nosiliśmy w dziobkach glinę, słomę, na ulepienie gniazdzka, aby naszym drogim dzieciom było wygodnie. Z jakąż radością ujrzelśmy czworo pisklątek, które do nas obrały swoje główki!

Otoczyłam je największem staraniem, w nocy tuliły się do mnie, a ja okrywałam je skrzydełkami i rozgrzewałam własnem ciałem. Mąż mój znosił pożywienie dla tych ukochanych istot, które na jego widok otwierały swoje małe dziobki, bo ptaszyna, jak każde stworzenie, potrzebuje wielkiej pieczy, żeby wyrość zdrowo i potem samój sobie radzić.

Jednego dnia, a był to najstraszniejszy dzień mojego życia, biedny mój mąż nie powrócił. Nadaremnie z dziećmi oczekiwałam go w niepokoju, w końcu przeczując straszne nieszczęście, pofrunęłam szukać go po ogrodzie, i tam pod krzakiem znalazłam go bez życia... W dziobku trzymał jeszcze robaczka, pokarm dla swoich dzieci, o których zawsze pamiętał.

Czy to jakaś nagła choroba, czy nikczemny kot życie mu skrócił, dosyć, że pomimo moich pieczy, oczu więcej nie otworzył, a ja zostałam sama na świecie. Na razie zdawało mi się, że z żalu serce mi pęknie, lecz myśl o dzieciach przypomniła mi moje ważne obowiązki i dodała siły. Poruczywszy więc pogrzeb męża owadom, zwykle się tem zajmującym i czarnemu kretowi, który mi wiele wówczas okazał współczucia, powróciłam do gniazdeczka, do pisklątek, jedynej mojej teraz pociechy.

Biednym moim sierotom nic nie mówiłam o nieszczęściu jakie ich spotkało; zbyt były młode, żeby je pojąć. Ale zajęłam się ich potrzebami, a że od rana jeszcze nic nie jadły, pofrunęłam szybko szukać pożywienia. Pierwszy to raz opuszczałam gniazdeczko, to też w wielkiej byłam trwodze i wracałam z zapasami żywności pośpiesznie. Wypadki dnia tego i lot prędko zmęczyły mnie bardzo, to też czując się blizką celu, usiadłam na sztachetach, otaczających ogród. O zdradzie nie wiedziałam, że były świeżo pomalowane smolną farbą, a ta na południowym słońcu rozgrzana, schwyciła moje łapki i skrzydełka, jak w kleszcze. Na domiar nieszczęścia zjawia się pisarz, powracający z pola, a widząc mnie szamocącą się na parkanie, podchodzi cicho, chwytając znięca i unosi na podwórze. Tam uradowany pokazuje wszystkim swą zdobycz i woła:

— Złapałem jaskółkę, zaniosę do dworu, to się dzieci ucieszą!

(d. c. n.)

Łamigłówa kryształowa.

(Od Heliotropu dla Sobótki).

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę, używane do igrzysk.
3. Imię żeńskie.
4. Kraj w Afryce.
5.
6. Imię biblijne.
7. Owad dokuczliwy.
8. Nazwa turecka.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą pseudonymem poety niezjącego.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 28 go.

Łamigłówki w kwadraciku:

N O C
O K A
C A L

Skrzynka do listów.

P. Michalski w Równem Wołyni. gramatyka Ieskiego z przesyłką pocztową kosztuje kop. 65, do przysłanych pieniędzy należy nam się jeszcze kop. 15.

Sokół z nad Narwi niesłuszny ma żal do Gołąbki pocztowej, która utrzymuje, że nigdy od niego ani słóweczka nie otrzymała, a zazwyczaj bywa bardzo dumna, gdy młodzież mężka zaszczyca ją listami. Cieszymy się niezmiernie, że miły nasz Sokół powrócił do zdrowia, ale po tak ciężkiej chorobie trzeba się dłużej poszanować i mieć dużo cierpliwości.

Niezabudka czeska żartuje chyba, przepraszając za częstą korespondencją, bo czyliż takie miłe liściki mogą się naprzykrzyć? Żal nam bardzo tego liściku Śliweczki węgierskiej, pomimo plamek czarnych, byłby przyjęty życzliwie, wymagania redakcyi muszą się stosować do wieku piszących. Tymczasem obrazek poszedł do skarbcza, gdzie się przechowują fotografie kochanych korespondentek, zawsze bardzo pożądane i różne miłe upominki. Łamigłówkę zamieścimy, a Gołąbka pocztowa najserdeczniej prosi o korespondencją z Sandomierskiego.

Alunia z Pustyni po długim milczeniu powraca z hojnym dakiem dla biednych dzieci, musi więc być przyjęta życzliwie, jako dziecko marnotrawne. Prosimy bardzo, aby pamiętała o nas.

Zręczny zajączek nieźle obmyślił zagadkę, wydrukujemy ją z małemi zmianami. Tylko niewłaściwie jej nadał tytuł „monogram”, co oznacza cyfrę, złożoną z dwóch lub kilku liter, powiązanych razem. Zagadki zaś tego rodzaju zowią się „anagramami”.

Niezapominajce białej i Robaczkowi z nad Wisły życzymy wszelkich przyjemności na wsi, oby im tylko pogoda sprzyjała. Podczas słoty niech kochane dzieci myślą o konkursach, a w pogodę najchętniej biegać i bawić się na świeżem powietrzu.

Reginka porządnie i wyraźnie pisze, niepotrzebnie też przeprasza za kaligrafią; robota w ogrodzie nie popsuje pisma, a dużo pożytku przyniesie. Za dary dziękujemy serdecznie.

Brzydotka z nad Tamizy poczciwa jest bardzo i kochana, że wędrując niemal po całej Europie, wszędzie o nas pamięta. Numer żądany odesłać się powtórnie.

Sokół z nad Bystrzycy złote ma serduszko, pamięta o biednych dzieciach, zamkniętych w murach miejskich, pozbawionych powietrza i mleka.

Koniczynka z nad Sejmu ślicznie napisała liścik, bez żadnej omyłki, widać że nie zaniedbuje oczystego języka. Korespondencya z naszą redakcją, a zwłaszcza pisanie odpowiedzi na zadania konkursowe, przyda się kochanej Koniczynie.

Palma spóźniła się z odpowiedzią na zadanie konkursowe, dlatego też jedynie wzmianki o niem niema w sprawozdaniu, a szkoda, bo było dobre. Jeszcze to kochana Palma wynagrodzi.

Polka Mazurka sprawiła nam prawdziwą przyjemność opisem tak zajmującej podróży. Brak owiej łamigłówki niebardzo nas zmartwił, bo ich mamy zawsze ogromne mnóstwo.

Czarnuszka z Kalisza musi popracować nad lepszą łamigłówką, bo trzeba, aby litery z obu stron wyrazów miały jakieś znaczenie. Żal nam bardzo biednej Czarnuszki, że lato w mieście spędzać musi, ale częste wycieczki zapewne jej to choć trochę wynagrodzą.

Sarneczce z nad Sanu odpisze niezadługo Gołąbka pocztowa, a tymczasem za liścik dziękuje.

Topolka z nad Kodemy przekona się w życiu późniejszym, że nic nie zatrze nigdy wspomnienia uroczystej chwili pierwszej komunii. Szczerze jej wieszujemy, że już tego szczęścia dostąpiła, i życzymy, aby się stała godną łask Bożych i rosła na pociechę rodziców.

Luba Swobodo z nad Wisły! Wybrałaś sobie śliczny pseudonym i szczęśliwa jesteś, że możesz bujać nad brzegami królowej rzek naszych. Przykro mi, że już nie masz swojej mamuńci. Serdecznie cię pozdrawia z nad brzegów Izery Brzydotka z nad Tamizy.

Kochana Grubulko! Już raz do ciebie pisałam, ale nie otrzymałam odpowiedzi. Ja jestem też tłuscioszka mam lat siedm, dwie siostrzyczki i dwóch braciszków, lalkę i białą kurkę, którą bardzo lubię. Odpisz mi w Pisemku, to się zaprzyjaźnimy może, twoja Truskaweczka.

Kochana Królowno salin! Pisałam już do dwóch panienek, ale... nie odpisały, spodziewam się, że ty będziesz grzeczniejsza. Zaciekałam mię twój pseudonym, dlaczego taki obrałaś? Uprowadziłaś mnie, droga Królowno Salin, bo i ja chciałam prosić kochanej pani, aby nam podawała w „Wiecz” jakie szczegóły z życia naszych poetów. Pozdrawia cię nieznana Palma.

Kochana Cyganeczko z nad Wisły! Wybacz, że nieznajoma do ciebie się odzywam. Podobał mi się twój pseudonym, przysięgam jestem moją rówieśniczką. Nazywam się Emilka, mam lat 14 uczę się na pensyi w Moskwie, wakacje spędzam na wsi u rodziców w Kurskiej gubernii. Proszę cię o odpowiedź, Koniczynka z nad Sejmu.

Kochana Polska Dzieweczko! Ładny masz pseudonym, na pizs mi co o sobie. Mnie na imię Zosia, siostrze Mania, bratu Miecicio. Skończyłam lat 13, przeszłam do klasy IV gimnazyum; a ty, czy w domu się uczysz, czy na pensyi? przyjmij pozdrowienie od Czarnuszki z Kalisza.

Kochani koledzy chłopcy! Nazywam się Milan, mam lat 9, niezły ze mnie swawolnik. Niech który napisze do mnie przez Pisemko, a może się kiedy w szkołach spotkamy, to już i przyjaźń gotowa. Turkaweczka, to moja siostrzyczka. Polecam się waszej przyjaźni, Mucyk z nad Rosi.

Droga Szarżo! Na twoje żądanie uwiadamiam cię o przybyciu do Warszawy. Bardzo przyjemnie spędziłem czas na wsi, ale musiałem wrócić dla wiadomych ci powodów. Oczekuję odpowiedzi, Wiercipięta.

Kochana Staruszko! Nazywasz się Anna, mieszkasz w Tulczynie, masz braciszka Bronisia i Stasia. Dziękuję ci za życzenia i posyłam ci je nawzajem. Ucałuj odemnie Bronia i Stasia. Kochająca cię, Jaskółka z nad Newy.

Kochana Czarnobrewko! Przepraszam cię, droga moja, że tak długo nie odpisałam na twój liścik, ale wierzaj mi, że już raz odpisywałam, tylko nie wydrukowano mego listu. Byłam raz w Wilnie i lubię to miasto. Może spotkaliśmy się na ulicy, jak to śmiesznie wygląda, pisujemy do siebie, a nie umiałybyśmy się poznać. Proszę cię, donieś ile masz rodzeństwa i odpisz prędko. Twojej Topolce srebrnej.

Kochana Jaskółko z nad Sekwany! Serdecznie się cieszę, że taka stara przyjaciółka „Wieczorów” i dorosła osoba, jak ty, luba ptaszyno, wybrała mnie wraz z moją serdeczną lubo nieznaną przyjaciółką Cyganeczką, na listowną znajomość. Z radością będę z tobą korespondowała. Tymczasem z głębi skromnego litewskiego dworu przesyłam ci aż do świętego Paryża siostrzane uściśnienie Sarenka z nad Moroczcu.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Biała Ostrożka kop. 20. — Poziomka kujawska, Owieczka i ich siostrzyczka rs. 1. — Hala D. rs. 1. — Świątełko kop. 50.

Dla biednych dzieci: M. Kątkow. kop. 50. — Hala D. rs. 1.